Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 29 Kwietna 1900.

Zgromadzenie

wspólne Kół posłów polskich: sejmowego i w radzie państwa.

Lwów d. 28 kwietnia.

Pod przewodnictwem posła Jaworskiego odbyło się wczoraj w sali sejmowej wspólne zgromadzenie posłów, należących do Kół Polskich w sejmie i w radzie państwa dla omówienia sytuacyi politycznej w kraju i państwie. Posłowie sejmowi zebrali się niezwykle licznie: pomiędzy innymi przybyli na posiedzenie także pp. Dunajewski i Biliński, którzy dotychczas w posiedzeniach sejmowych w bieżącej sesyi udziału nie brali. Członkowie Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim, którzy w sejmie nie zasiadają, zaproszeni specyalnie na to zgromadzenie, jawili się w komplecie, przybyło ich bowiem 34.

Przewodniczący zapowiedział, iż rozdzieli tematy rozprawy w ten sposób, iż najpierw ma być mowa o polityce Koła Polskiego we Wiedniu, a osobno o stosunkach w kraju i udziela głosu najpierw posłowi Rayskiemu, jako przewodniczącemu „lewego centrum" (secesyonistów z lewicy) która to grupa poselska dała inicyatywę do zwołania zebrania. Mowca zaznacza, że skoro opinia kraju informuje się o działalności Koła Polskiego w radzie państwa z dzienników, z których każdy działalność tę tendencyjnie według swej barwy przedstawia, gdy pod wpływem takiego przedstawiania jego czynności w kraju szerzy się zapatrywanie, iż Koło Polskie we Wiedniu za wiele zajmuje się polityką ogólno-państwową, a za mało i może za miękko sprawami narodowemi i krajowemi, jak np. w sprawie upaństwowienia gimnazyum cieszyńskiego i usunięcia koszar żołnierskich z Wawelu przeto chodzi o to, iżby w sejmowem Kole, przy współudziale wszystkich posłów, należących do Koła Polskiego w radzie państwa przeprowadzoną została wyczerpująca rozprawa o polityce parlamentarnej reprezentacyi naszego kraju we Wiedniu.

Drugim celem zebrania jest przeprowadzenie dyskusyi politycznej o wewnętrznych stosunkach w kraju — gdy stare stronnictwa rozsypują się, młode powstają, gdy dawniej ze stanowiska narodowego za nietykalne uważane świętości, jak n. p. zasada solidarności narodowej i oparta na tej zasadzie organizacya krajowego komitetu centralnego dla wyborów, coraz silniej bywają atakowane, więc i w tym kierunku objaśnienie opinii kraju, wyklarowanie charakteru i doniosłości różnic w zapatrywaniach na te sprawy, jest niewątpliwie pożądanem i potrzebnem.

Dr. Kozłowski wyraża wdzięczność posłowi Rayskiemu, iż zarzuty podnoszone przeciwko Koło Polskiemu we Wiedniu przez niektóre organa prasy, określił jako wieści, wymagające sprawdzenia i sprostowania. — Sprawy: cieszyńska i Wawelu, były rozstrzygnięte i załatwione możliwie najpomyślniej za wpływem i staraniem Koła Polskiego przedtem, zanim posłowie polscy, zasiadający w wiedeńskim parlamencie na lewicy, pomiędzy Niemcami, dla obałamucenia opinii kraju wnieśli swoje interpelacye w tych sprawach, a zrobili to w taki sposób, iż rączej zaszkodzili a nie pomogli sprawom, o które chodziło. Mowca przechodzi następnie szczegółowo długi szereg rozmaitych interesów krajowych, w których za staraniem Koła Polskiego we Wiedniu widoczny jest korzystny dla kraju — jakkolwiek powolny postęp. Postęp ten musi być jednak powolnym, jeżeli się zważy, ile to trudności, niechęci i uprzedzeń zwalczyć tam potrzeba, zanim zdobędzie się tam jakieś ustępstwo dla nas!

Poseł Jaworski, jako prezes Koła Polskiego we Wiedniu, objaśnia jego działalność ze strony politycznej, gdy Kozłowski mówił o szczegółach budżetowych i ekonomicznych. Programu pisanego Koło nie ma, lecz obowiązki jego polityczne określić się dadzą w następujących czterech punktach wytycznych, które każdy z członków Koła Polskiego odczuwa: w pierwszej linii dbać o utrzymanie mocarstwowego stanowiska monarchii, do której należymy, a którą daje nam ochronę i możność rozwoju kulturnego w duchu narodowym; następnie dbać o utrzymanie przychylności i życzliwości cesarza, jako dawcy i wiernego orędownika tych swobód, jakie w Austryi posiadamy; po trzecie obrona autonomii kraju i staranie, ażeby w całem państwie wzmacniały się i wzrastały autonomiczne urządzenia; a wreszcie przestrzeganie solidarności narodowej, która jest najpewniejszą poręką siły i wpływów Koła Polskiego w wiedeńskim parlamencie.

Jeżeli Koło polskie popiera, który rząd czyni to dlatego, żeby za jego pomocą skuteczniej potrzeby i interesa kraju popierać, gdyż my nie jesteśmy w tem położeniu, ażebyśmy mogli — jak inni, siłą wymusić we Wiedniu zdobycze dla kraju. Ale nie każdy rząd także popieramy. Nie popieraliśmy np. nieudolnych rządów Clarego, dlatego, że był nieudolny, dla państwa szkodliwy, chociaż okazywał nam uprzejmość i uległość. Jest to dla polityki Koła cennym nabytkiem, iż znajduje się ono w składzie większości parlamentu. Dla utrzymania tej większości autonomicznej ponosiło Koło nieraz ciężkie ofiary i gotowe wytrwać w niej wiernie i ofiarnie i nadal. Lecz przynależni do tego sojuszu winni pamiętać, iż są pewne granice tej łączności, po za które nie pójdziemy. Mianowicie nie damy się nigdy wciągnąć w wir obstrukcyi i w ogóle środków gwałtownych, które mogą zakwestyonować byt parlamentu i parlamentaryzm w ogóle, i dać pochop do nieobliczalnych przewrotów. Jako reprezentanci kraju, który z ciężkością podnosić się poczyna z największego zaniedbania i biedy, ze społeczeństwem podminowanem wywrotowemi dążnościami na żadne hazardy puszczać się nie możemy. I jakkolwiek jesteśmy wiernymi sojusznikami Czechów, to jeżeli oni, ulegając prądom radykalnym, na szkodę państwa i z największą szkodą własną dadzą się wciągnąć na drogę obstrukcyi, powiemy: Dotąd, a nie dalej! Na drogę obstrukcyi nie pójdziemy nigdy! Za Clarego żądano od nas, abyśmy porzucili prawicę i przeszli do lewicy niemieckiej za cenę jakichś szczególnych ustępstw Byłoby to postępowanie niegodne uczciwego stronnictwa i byłoby błędem, który ciężko zemściłby się na nas później.

Do takiej frymarki nie jesteśmy zdolni. Jak od sprzymierzeńców naszych wymagamy stałości, konsekwencyi i lojalności, tak musimy dochować im także wiernie naszych wobec nich zobowiązań moralnych. I dochowamy ich z pewnością — ale, powtarzam, będziemy z cini tylko tak długo, dokąd na to będzie pozwalał interes nasz narodowy i interes kraju. Gdyby zaś wymagano od nas, byśmy poszli na drogę nieokreślonych eksperymentów i hazardów, powiemy nawet najlepszym przyjaciołom: „Dotąd, a nie dalej!"

Dr. Weigel (prezes klubu lewicy) jako członek Koła polskiego od lat 31, odpiera z oburzeniem insynuacye nieżyczliwe Kołu, mogące szkodzić jego powadze i zaufaniu w kraju. Potępia jak najbardziej stanowczo machinacye usiłujące wciągnąć Koło polskie na drogę zdrady prawicy i zaprzedania się Niemcom. Czechów popierać powinniśmy, gdyż żądania ich narodowe są słuszne. Ale na drogę obstrukcyi nie pójdziemy za nimi, gdyż obstrukcya jest środkiem jałowym, nierozumnym i niepatryotycznym.

W podobnym duchu przemawiał także drugi członek lewego skrzydła w Kole polskiem we Wiedniu, dr. Sokołowski.

Dr. Rutowski, w godzinnej mowie, usiłuje udowodnić, iż dotychczasowa polityka Koła była nieskuteczną, sentymentalną, „zoologiczną", bo szła za popędem rasowym za Czechami, ze szkodą dla naszych własnych interesów. Oddaje zresztą hołd uznania dobrej woli i gorliwości obywatelskiej większości Koła.

Poseł Abrahamowicz odpiera zarzut jakobyśmy weszli w związek prawicy dla jakiejś idei słowiańskiej — jakkolwiek idea słowiańska jest niezaprzeczenie do pewnego stopnia i naszą ideą.

Związek prawicy opiera się na wspólności dążeń i interesu najróżnorodniejszych elementów, opierających się na zasadzie autonomii — bez względu na rasę i narodowość. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, iż w związku prawicy znajdują się także i Niemcy autonomiści. Otóż z Niemcami nie może przecież Koło polskie prowadzić — jak twierdzi p. Rutowski — rasowej polityki antyniemieckiej! Zapraszaliśmy przecież do współdziałania i inne umiarkowane stronnictwa niemieckie. Nie nasza wina, że zaproszenia te nie odniosły pożądanego skutku. Fakt ten dowodzi atoli jasno, iż w Kole polskiem nie ma mowy o rasowej polityce. Najzdrowszą większością w parlamencie byłaby koalicya, w której skład wchodziliby Polacy, Czesi i Niemcy. Przedmiotowo sądzący Niemcy sami to uznają. Różnice bowiem dzielące dziś jeszcze Czechów od Niemców są bardzo subtelne. A jeżeli ta papierowa ściana kłótni czesko-niemieckich nie przestaje ich dzielić, nie winien temu żaden inny czynnik, jak tylko radykalizm — radykalizm, który teroryzuje umiarkowane żywioły tak niemieckie jakoteż i czeskie. Koło polskie nie daje się teroryzować radykalnym wpływom.

Elementa radykalne oddzieliły się od niego w mniemaniu, że sparaliżują tem działanie Koła. Mylą się jednak. I nieraz zapewne posłowie polscy siedzący na lewicy w radzie państwa, gdy widzą postępowanie Koła, z jakiemi trudnościami ma ono do walczenia tam we Wiedniu i z jakimi przeciwnikami, ciężkie czują wyrzuty sumienia, że pozostają poza Kołem. Potrzeba, abyśmy nie zużywali naszych sił na partyjne kłótnie domowe, gdy one są nam potrzebne do obrony najdroższych interesów narodowych naszych, interesów kraju i państwa. (Huczne brawa!)

Książę Sanguszko przedkłada do przyjęcia rezolucyą następującej osnowy:

„Zgromadzeni na posiedzeniu Koła sejmowego dnia 27 kwietnia 1899 posłowie, po wyczerpującej dyskusyi o położeniu politycznem, wyrażają Kołu polskiemu we Wiedniu uznanie i zaufanie.

„Koło sejmowe wyraża przekonanie, że główną podstawą użytecznej działalności Koła Polskiego jest utrzymanie solidarności tak wewnątrz Koła, jakoteż ze sejmem krajowym, a potępiając wszelkie z istotą i powagą parlamentaryzmu niezgodne środki obstrukcyjne, zkądkolwiekby one pochodziły, wypowiada przekonanie, że Koło Polskie we Wiedniu stanowczo dążyć będzie do przywrócenia normalnych stosunków parlamentarnych, niezbędnych tak dla utrzymania powagi i potęgi państwa, jakoteż dla rozwoju najżywotniejszych interesów kraju naszego, oraz że stale strzedz będzie autonomii krajowej".

Zabierali jeszcze głos posłowie Wojciech Dzieduszycki, ks. Czartoryski, ks. Stojałowski, Romanowicz i Bernadzikowski, poczem rezolucya zaproponowana przez ks. Sanguszkę została jednomyślnie uchwaloną.

Poseł Romanowicz popierał rezolucyę krytykując tylko „w zasadzie" politykę Koła. Dr. Bernadzikowski w imieniu stronnictwa ludowców zastrzegł się przeciwko ustępowi pierwszemu rezolucyi — a więc potrzebę solidarności uznał.

Następne posiedzenie koła dla dyskusyi nad położeniem wewnętrznem w kraju zapowiedział p. Jaworski na jutro, niedzielę, godzinę 11 przedpołudniem.

Wczorajsze posiedzenie trwało pełnych sześć godzin: od 4 do 10 w nocy.

Teofil Merunowicz.

Biali i czarni.

Uwaga całego świata zwrócona jest ku Afryce południowej, a prasa europejska skrzętnie notuje nie tylko przebieg wypadków wojennych, lecz i mnóstwo szczegółów dotyczących historyi, obyczajów, stosunków ekonomicznych i t. p. Wszystko to jednak odnosi się do osadników europejskich, którzy tam zamieszkują, natomiast rzadko można się spotkać z większemi pracami lub artykułami dziennikarskimi, poświęconymi autochtonom Afryki południowej, tym jedynym prawym właścicielom czarnego lądu.

Interesującym pod tym względem wyjątkiem jest ogłoszona świeżo praca jednego z byłych ministrów angielskich, sir T. Bryce'a, traktująca o Afryce południowej pod względem etnograficznym i topograficznym, praca, w której znajduje się spora garść szczegółów o właściwościach i położeniu ludności południowo-afrykańskiej.

— Murzyni — pisze wymieniony autor, stanowią najniższą klasę w kolonii Przylądka, w Natalu, Oranii i południowej części Transvaalu. Większość ich zajmuje się rolnictwem i pasterstwem, jako służba u białych właścicieli gruntu, mniejszość zaś uprawia ziemię na własny rachunek, lub wykonywa po miastach rzemiosło. W ogóle murzyni spełniają prace najcięższe, które jednak ze względu na klimat zbliżony do europejskiego, mogliby bardzo dobrze wykonywać biali osadnicy. Ponieważ jednak Afryka południowa skolonizowaną została już od połowy XVIII wieku, przeto niewolnicy stanowili w niej najtańszą siłę roboczą, aż do roku 1834, gdy Anglia zniosła w swych posiadłościach niewolnictwo. Przez ten czas biali osadnicy odzwyczaili się od wszelkiej cięższej pracy i nauczyli się nią pogardzać. Stało się to u nich zasadą, że biały nie powinien robić czegoś, w czem wyręczyć go może murzyn. Ta zasada utrzymała się w pełnej sile także i po zniesieniu niewolnictwa. Nawet rzemieślnicy i rolnicy, świeżo z Europy przybywający, przyswajają sobie ją szybko. Cieśle, murarze, pasterze, rolnicy i t. d. należący do rasy białej, są właściwie tylko dozorcami, podczas gdy murzyni spełniają właściwą pracę w danym zawodzie.

W ten sposób wyrobił się stosunek szczególniejszego rodzaju pomiędzy białymi a murzynami, którzy w gospodarstwie rolnem stanowią na równi z inwentarzem i maszynami jego część integralną. W ostatnich czasach jednak wielu murzynów staje się właścicielami gruntów, lub też na wzór dzierżawców francuskich dzieli się — zamiast czynszu — plonem z właścicielami ziemi. Murzyni otrzymują z gospodarki na roli bardzo dobre rezultaty, gdyż są wytrwali i uczą się chętnie. Szczególniej misyonarze, tak katoliccy jak protestanccy, wywierają wpływ zbawienny na murzynów w sposób praktyczny, szczepiąc u nich cywilizacyę europejską. Wogóle, zdaniem angielskiego autora, murzyni południowo-afrykańscy są ludźmi, wykazującymi obok pewnych wad, właściwych swojej rasie, dużo zdolności, dobrej woli i chęci do nauki, a o wiele więcej uczciwości, niż murzyni w Stanach Zjednoczonych.

Uznając nawet, że pomiędzy białymi a murzynami istnieje niewielka wspólność intelektualna a z nią brak sympatyj obustronnych, trudno jednak zrozumieć tego wstrętu i pogardy, jaką żywią piersi względem drugich. Człowiek biały zamieszkujący Afrykę południową, o tyle czuje się wyższym od murzyna, że w razie zatargu z nim nie ucieka się do perswazyi, lub drogi prawnej, lecz sam sobie siłą wymierza sprawiedliwość. Najniższe, najmniej inteligentne warstwy ludności białej, okazują tuziemcom największą nienawiść jest ona silniejszą u boerów, niż u anglików. Dowodzą tego surowe, nawet wprost okrutne prawa obu republik południowo afrykańskich wobec murzynów. Jedynie urzędnicy, przysyłani wprost z Anglii do Natalu i kolonii Przylądkowej, oraz misyonarze chrześcijańscy wszystkich wyznań są opiekunami i prawdziwymi przyjaciółmi kafrów i hotentotów.

Aczkolwiek pod względem prawnym murzyni zrównani są zupełnie z białymi w posiadłościach angielskich, to jednak pod względem towarzyskim rasy te rozdziela głęboka przepaść. Biały wpuszcza murzyna do swego domu jedynie w charakterze służącego, a interesa z murzynami nie zostającymi u niego w służbie, załatwia na „stoep'ie" — werandzie. Po kościołach wszystkich wyznań murzyni przystępują osobno do Komunii. W Oranii zaś i Transvaalu murzyni nie posiadają praw politycznych, a jeden z zasadniczych ustępów konstytucyi transvaalskiej głosi, że „nie ma równouprawnienia pomiędzy białymi a murzynami, ani w państwie, ani w kościele". W obu republikach murzyn nie ma prawa głosu i nie może być przysięgłym, natomiast płaci podatki stosunkowo większe. niż jego biali współobywatele. Jednym z powodów nienawiści Boerów do Anglików jest to, że zaprowadzili oni w kolonii Przylądkowej i w Natalu równouprawnienie między białymi a murzynami. Każdy prawdziwy Boer z pogardą wyraża się o rządzie, który dopuścił murzyna do używania i wykonywania praw wolnego białego człowieka.

ROZMAITOŚCI.

Diner a l' Arabe. Niedawno pisaliśmy — powiada *Przegląd Kucharski* — o zastosowywaniu elektryczności w dekorowaniu stołów. Obecnie w pogoni za oryginalnością i wyszukiwaniem sensacyi — rzucono się na inne, może i wdzięczniejsze pole. Oto zaczęto wprowadzać modę ucztowania na sposób poszczególnych ludów, z zachowaniem wszystkich charakterystycznych cech tychże, jak strój, dekoracya sali, potrawy i sposób ich spożywania.

Br. Maks. Oppenheim w Kairze, zainscenizował niedawno obiad po arabsku. Charakterystyczna ta nowość przedstawia się następująco:

Sala jadalna udekorowana na sposób wschodni w dywany i makaty. Na środku tejże olbrzymi kląb z misternie ugrupowanych palm i kaktusów do wysokości sufitu, w którym kilka fontan z wodą różanną szmerem i wonią łechtały rozkosznie zmysły 10 małych stolików, rozrzuconych po sali, oprócz chleba i łyżek nie miały zwykłych nakryć.

Gdy goście usiedli, po 6 osób przy jednym stoliku, obiad składający się coś około z 20 dań, rozpoczął się myciem rąk. W tym celu służba, przebrana za Arabów w białe burnusy i charakterystyczne turbany, podała jako pierwsze danie ogromne misy z cyzelowanego srebra z wodą.

Na każdy stolik, podano zupę w wazie i goście jedli wprost z tejże, bo talerzy nie było. Następne dania, kładziono po jednym półmisku na środku każdego stolika, brano palcami i w palcach rozdrabniając — spożywano. Najwięcej korowodu i zamięszania sprawiały dania mięsne niesiekane, gdyż towarzystwo a zwłaszcza panie nie mogły sobie dać rady z rozdzieraniem poszczególnych części kurcząt, bażantów, pawi itp. Potrawki, sałaty, w ogóle wszystko spożywano w ten sposób — pomagając sobie łyżką i wydrążoną skórką z chleba.

Gospodarz, który przed każdem nowem daniem uderzał w dzwon, chodził od stołu do stołu, rozmawiał, dowcipkował, jednocześnie pomagając paniom w oddzielaniu jędrniejszych części mięsiwa. Przytem z każdego stołu brał potrawy także palcami i jadł.

Po obiedzie przeszli goście do salonu, urządzonego na sposób wschodni i posiadawszy po turecku na dywanach — pito kawę i palono nargile.

Wszyscy byli zachwyceni ową biesiadą. Zaczęto skwapliwie naśladować, modyfikując na różne sposoby. Paryż zazdrośny, że powyższa marka nowości nie pochodzi od niego — mści się i urządza obiady „etnograficzne" całej kuli ziemskiej. Ciekawiśmy jak wypadnie obiad „eskimosów" lub „czerwonoskórych" co niewątpliwie nastąpi w tym wyścigu za oryginalnością.

Nowy objaw w dziedzinie agrarnej. W całej Europie obecnie objawia się natężony ruch na polu rolniczem, a nie pozostała od niego wolną i Rosya. Od dawna tam znane są tak zwane „artele", które zresztą obecnie już i w Warszawie istnieją, niedawno jednak powstał nowy „artel", który jest zupełnie nowem zjawiskiem w życiu ekonomicznem.

We wsi Małyja Swieticy w powiecie borowickim włościanin Michajłow utworzył „artel" rolniczy, w którego skład weszła cała wieś, składająca się z 50 domów i posiadająca 308 osób ludności obojga płci, a 200 zdolnych do pracy. Zadaniem „artelu" jest wspólna uprawa roli podług metody ulepszonej (gospodarstwo ma być 8-polowe) za pomocą narzędzi ulepszonych itd. Oprócz tego cała wieś znów wspólnemi siłami będzie budowała domy mieszkalne z cegły, dla dzieci będzie otworzona szkoła, przy której do zajęć praktycznych będzie ogród owocowy, pasieki, kawałek roli do ulepszonej uprawy zboża itd. W szkole również będą uczyły się dzieci prawidłowej hodowli bydła, a także i niektórych rzemiosł, nieodzownych w życiu włościanina.

Ponieważ wymieniona wieś znajduje się na połowie drogi pomiędzy Petersburgiem a Moskwą, przeto produkty będą wysyłane na sprzedaż do obu miast. Na pierwsze potrzeby „artel" zaciąga pożyczkę.

Najciekawszym jest system przyjęty przez członków „artelu" co do wynagrodzenia za pracę. Czysty zysk będzie podzielony na liczbę dni roboczych wszystkich razem członków „artelu" i w ten sposób będzie utrzymana cena dnia roboczego.

Każdy z członków otrzyma zapłatę stosownie do liczby swoich dni roboczych. Za bardzo pilną pracę będą wyznaczone osobne nagrody, leniwym zaś cena ich dnia może być zmniejszona.

Ultranaturalizm.

Malarz A. Właśnie co wymalowałem krajobraz zimowy, powiadam ci, tak naturalny, że w mojej pracowni termometr spadł o 20 stopni.

Malarz B. E, to jeszcze nic. Zeszłego roku zrobiłem portret starego Browna, powiadam ci, tak żywy, żem go regularnie golić musiał.

Z rozmów rautowych. Ktoś cytuje aforyzm Brillat-Savarina, który twierdził, iż wynalezienie nowej potrawy więcej szczęścia przynosi ludzkości, niż odkrycie nowej gwiazdy. Jedni mówią to, inni owo, większość zaś wypowiada zdziwienie z powodu porównania potrawy do gwiazdy.

— Ależ — protestuje Iks — co w tem dziwnego? Wszak w gastronomii mieści się cała astronomia!..

Repertoar teatru hr. Skarbka.

W niedzielę o pół do 4 po południu „Nietoperz" opera komiczna w 3 akt. Jana Straussa.

W niedzielę o 1/2 8 wieczorem na ogólne żądanie nieodwołalnie po raz ostatni „Gejsza" operetka w 3 aktach Sidneya Jonesa. Jeszcze tylko siedm ostatnich przedstawień operetki we Lwowie.

W poniedziałek po raz drugi „Panna żołnierzem" krotochwila w 3 aktach Kurta Kraatza i Henryka Stobitzera.

23

Prawo starszeństwa.

POWIEŚĆ

Champola.

(Ciąg dalszy.)

Właściwie mówiąc, nie bawił się on, lecz przejmował się grą w najwyższym stopniu, roznamiętniał się i tak ubiegał się o wygraną, jak gdyby chodziło o jego majątek lub życie, a gdy przegrywał, co zdarzało się rzadko, gdyż był mistrzem we wszelkiego rodzaju sportach, to wpadał w rozpacz lub wściekłość.

Pewnego dnia, gdy kończono partyę krokieta, zaczął padać deszcz.

— Moja nowa suknia! — zawołała Queenie.

I rzuciwszy młotek, uciekła do domu. Za nią pobiegł i Franciszek, który rozwijając nad jej głową ogromnych rozmiarów dziennik, wołał:

— Oto parasol!

Pozostały na polu walki Stefan, z początku spoglądał za uciekającymi, następnie wprawnem uderzeniem młotka dokończył partyi.

Gdyby nie deszcz, partya, ku wstydowi Franciszka, byłaby wygraną.

— On to przewidział i dlatego uciekł — mruknął.

Jak wiele osób, żyjących samotnie, Stefan przywykł myśli swoje niekiedy wyrażać głośno.

— Zawsze jakiś wypadek przeszkodzi mi... zawsze coś zasłoni go. Tak zawsze było i tak będzie.

Dwie białe plamy wystąpiły na twarz Stefana i ręce wyciągnęły się groźnie, poczem opadły z gestem rozpaczy.

Poczem jak wściekły, rzucił się na przyrządy do gry w krokieta, wziął kilka piłek i z całej siły cisnął je daleko od siebie, wreszcie połamał młotki, oraz pozostawioną przez Franciszka laskę i uspokoił się dopiero wtedy, gdy spostrzegł zapomniane przez Queenie rękawiczki.

Wziął je do ręki, oglądał uważnie, dotykał się ich delikatnie, jak gdyby z uszanowaniem.

Jednocześnie i twarz jego stała się łagodną.

Rzucił wzrokiem na dokonane przez siebie zniszczenie i wróciwszy znowu do rękawiczek, złożył je i szepnął:

— I po co to? po co?

Jakieś dwa uczucia sprzeczne miotały jego duszą, jak przypływ i odpływ objawiały się na obliczu, wywołując z kolei bladość lub rumieniec, zapalające lub gaszące źrenice.

Wkońcu spochmurniał i odszedł.

Schował rękawiczki do kieszeni, odrzucił nogą połamane młotki i wszedł do domu wejściem tylnem.

Franciszek i Queenie byli już w salonie.

Deszcz padał ciągle, o wyjściu nie mogło być mowy.

Czas jakiś chodzili po pustych pokojach. Ciotka Kiddy siedziała w swem mieszkaniu, Walter i Teresa nie powrócili jeszcze z wycieczki samotnej.

Queenie więcej niż kiedykolwiek raziły teraz zwyczaje tego domu, w którym każdy zajęty wyłącznie swemi myślami i sekretami, żył osobno i unikał drugich; nie tak wyobrażała sobie pożycie rodzinne.

Otwierała i zamykała książkę, przeglądała album z fotografiami, następnie udała się do sali bilardowej, gdzie wpędziła kilka bil do łuzy, lecz nie mogła pozbyć się przejmującego ją smutku i nudy.

Franciszek nie mogąc dłużej patrzeć na jej piękną twarz zasmuconą, zawołał:

— Ponieważ nie możemy odbyć wycieczki dalszej, więc proponuję podróż po zamku. Będzie ona bardzo ciekawą.

Siedząca na kanapie Queenie, zerwała się na nogi i zapytała:

— Dokąd pójdziemy?

— Zwiedzimy zamek. Niech pani nie wykrzywia ust tak lekceważąco bo to rzecz nie tak bagatelna, jak pani się zdaje. Chartran to cały świat i pełen bardzo ciekawych zabytków starożytnych. Zna pani osobliwości Francyi, Włoch, Hiszpanii, ale nigdy zapewne nie widziała pani starego zamku angielskiego ze wszystkimi jego szczegółami.

Queenie przyznała, że rzeczywiście nigdy nie miała sposobności widzieć go.

Brentowie, będący młodszą linią w swym rodzie, przytem przebywający ciągle za granicą, posiadali jedynie mały domek z gankiem przy ulicy Cromwell-Road.

Co zaś do zamku, w którym przebywała teraz w gościnie, nie znała go wcale, to też propozycyę wiedzenia go przyjęła z zachwytem.

Franciszek jako człowiek systematyczny, jakim bywa każdy dobry wojskowy, rozpoczął wyprawę od suteren.

Queenie odkryła w nich cały świat nowy, którego mieszkańców dotychczas nawet nie znała.

(C. d. n.)

Ostrzeżenie.

Zwrócono moją uwagę na następujące nadużycie: Ajenci równobrzmiącej firmy wiedeńskiej, odwiedzają moich P. T. gości w Galicyi, zaszczycających mnie długoletniem zaufaniem, przyjmują zamówienia, nie objaśniając moich klientów, że są zastępcami innego przedsiębiorstwa.

Wobec tego bałamucenia moich P. T. odbiorców w Galicyi, ośmielam się prosić, by łaskawie do wiadomości przyjąć raczyli, że ajentów ani zastępców w ogóle nie wysyłam, że z żadną firmą spółki nie zawierałem i nikogo do reprezentowania mojej firmy nie upoważniłem. Adres, pod którym i nadal łaskawe zamówienia nadsyłać jak najuprzejmiej upraszam zostaje niezmienionym: **Wiedeń, I., Teinfaltstrasse 7.**

Proszę Szan. gości o łaskawe zachowanie mi zaufania i kreślę się z głębokiem szacunkiem

Emanuel Pollak
właściciel pracowni krawieckiej.

4564

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.